

Krystyna Balcerzak z d. Łapińska

Urodziłam się w 1929 r. we wsi Płonka Strumianka, gm. Łapy, pow. Wysokie Mazowieckie.

Ojciec pracował na kolei i służbowo był oddelegowany do Wilna. Długo nie wracał, to nawet była wiadomość, że nie żyje, ale potem wrócił. Jak front się zbliżał w 1944 r. to w wiosce było bardzo dużo Niemców. W naszym domu ustawili radiostację, a my siedzieliśmy w piwnicy. Była bardzo duża, kamienna, to bardzo dużo ludzi z Łap u nas się skryło. Wreszcie nadeszli Sowieci. Jak zaczęli walić z dział, to na polu wszystkie zboże spłonęło. Całe "dziesiątki" się paliły. Potem ostrzelali wieś i mało który dom ocalał. Nasz ten spłonął. Wtedy właśnie zginął ojciec. Sowieci ostrzelali nasz dom z katuszy. Próbowaliśmy uratować stodołę, żeby się nie zajęła od domu, i wtedy trafiły go odłamki pocisku. Zostaliśmy się tylko z mamą (miała wtedy 38 lat), nas sześcioro było, brat najmłodszy miał dopiero 4 latka, a do tego jeszcze dwie babcie.

Mieszkaliśmy w chlewku. Podzieliliśmy go na dwa pokoiki. Mieliśmy 11 ha ziemi. Było ciężko, ale wszyscy pomagaliśmy sobie nawzajem. Chociaż uczyłam się, ale w żniwa i w czasie kopania ziemniaków pracowałam jak wszyscy.

Koło naszej wsi był las, więc od samego początku były tu oddziały partyzanckie. Bardzo często przez wieś maszerowały te oddziały. Kto tylko mógł, dawał im jedzenie. Od samego początku był i oddział "Huzara". Na początku to jeszcze był duży i nie bali się nikogo - kwaterowali prawie jawnie. Później jednak, po amnestii w 1947 r. wszystko bardzo się zaostrzyło. Było bardzo niebezpiecznie pomagać partyzantom. Ludzie bali

się. Oddziały też już nie były takie duże jak na początku, ale niewielkie grupki - po pięciu, sześciu. Nie wiem jak gdzie indziej, ale u nas we wsi to generalnie społeczeństwo było za partyzantami. Nie oznacza to jednak, że do każdego mogli zajść. Np. do moich sąsiadów nie zachodzili, bo oni mieli jakieś kontakty z milicją, mieli inne poglądy. Również w Łapach chłopcy czuli się bardzo dobrze - jak w domu. Całe Łapy były za nimi. Tam przecież później to większość rodzin siedziała za "Huzara". Zresztą niemal wszystkie okoliczne wsie pomagały im: i w Skwarkach mieli punkty, i w Matyskach, w Łupiance, dookoła... . Wszystkich wsi zresztą i nie znam, bo nigdy nie pytałam się o to, bo wiadomo... .A tam gdzie Adam był, to i w Siemiatyczach mieli ludzi, i w Milejczycach, wszędzie im pomagali.

Chyba w 1946 r. zaczęłam uczyć się w gimnazjum w Łapach, w domu więc bywałam tylko w sobotę i niedzielę. Później przeniosłam się do Białegostoku, gdzie skończyłam dwuletnie liceum pocztowo-telekomunikacyjne.

Miałam chyba z 17 lat jak poznałam Adama [Adam Ratyniec "Lampart"]. Jeszcze w Łapach wtedy się uczyłam. To było już po ujawnieniu [kwiecień 1947 r.]. No i gdy byłam w domu, w Plonce, którejs niedzieli zaszłam do sąsiadów. I tam zastałam chłopaków. Siedzieli w innym pokoju. "Huzar" wyszedł z pokoju i spytał się:

- A czyja ona? - a siostra cioteczna przedstawiła mnie:

- Toż to siostra Franka - i wtedy "Huzar" podszedł do mnie, wziął na ręce, zaniósł do chłopaków i powiedział:

- To jest siostra Franka - roześmieli się wszyscy. A ja wtedy miałam białe tenisówki na nogach, białe skarpetki i rozpusz-

czone włosy. I tak się z nimi zapoznałam. Moją rodzinę znali już wcześniej, ale że ja bywałam w domu tylko w końcu tygodnia, więc dopiero teraz... Wtedy właśnie poznałam „Lamparta”. Podeszedł do mnie, chwilę porozmawiał, chciał od razu przyjść do domu, ale powiedziałam, że mama nie pozwala mi się spotykać z nimi, więc może kiedy indziej. A jednak przyszedł następnego dnia i mama nic nie mówiła. Gdy jednak umówiliśmy się na pierwszą randkę wolałam spotkać się z nim poza domem. Potem był pierwszy list i tak to się zaczęło.

„Lampart” był wysoki, szczupły, włosy czarne, lekko falujące, oczy ciemne. Zawsze nosił mundur, do tego oficerki - wyglądał niezwykle zgrabnie. Dla mnie był najładniejszy. Podobał mi się pod każdym względem. Jak mówił (a miał taki cichy, ciepły głos), to oczy miał błyszczące, ciepłe, że od pierwszej chwili czułam jakbyśmy znali się od dawna. Był łagodny. Swoim zachowaniem sprawiał, że przyciągał do siebie drugiego człowieka, żadnego dystansu, czy jakiegoś chłodu w stosunku do drugiego człowieka. Przede wszystkim jednak nie był nachalny - umiał dziewczynę szanować. Stać go było na to, by powiedzieć, że chłopak który kocha, nigdy swej dziewczynie nie zaproponuje nic złego. Pocałunek, przytulić się - owszem, ale nic więcej. Tak że wad to ja w nim nie widziałam. Dla mnie był ideałem.

„Huzar” był zawsze taki spokojny, flegmatyczny, powoli wszystko mówił, wyjaśniał. Był bardzo opanowany.

A chłopcy byli bardzo weseli, przyjemni. Przede wszystkim jednak bardzo religijni. Rano zawsze modlili się. Mieli swoją pieśń, bardzo ładną. Wódki nigdy nie pili, a jeśli - to bar-

dzo mało. U nas w domu wódki to nigdy nie było - kto by tam jeszcze wódkę fundował. "Huzar" to mówił, że nie zginie, bo za niego wszystkie babki się modlą. Z kolei mój Adam, to pod koniec był bardzo smutny. Miał dosyć już tego chodzenia, chciał normalnie żyć. Były chwile, że bywał załamany. Kilka razy to aż płakał jak się rozstawaliśmy. Mówił:

- Nie wiem co bym dał za to, że już można było normalnie żyć, normalnie pracować... - ale na to nie było już żadnych szans. Jeśliby się oddał w ich ręce, to może i kara śmierci by była (sądząc po sprawie "Huzara", to na pewno), a do tego jeszcze musiałby wszystkich wydać. A gdyby tak zrobił, to mogliby go zabić swoi. Taki był partyzancki regulamin.

Dlaczego nie ujawnił się w 1947 r.? Dlatego, że np. mój znajomy Jan Płoński ze Strumianki ujawnił się i zaraz był aresztowany, osadzony i siedział długo. Takich wypadków było bardzo dużo, i dlatego chłopcy nie chcieli... . Gdyby to człowiek wiedział chociaż, że przynajmniej odsiedzi ileś lat i wyjdzie na wolność, ale ich skazywano przecież od razu na karę śmierci.

Adam pochodził z Wolimia, gdzieś od Włodawy chyba. Najpierw był w Batalionach, chyba Chłopskich, dokładnie nie wiem, bo nawet nie wypadało tak dokładnie wypytywać. Potem, gdy mu ten rząd przestał się podobać, wstąpił do organizacji WiN. Miał siostrę. Przez te kilka lat spotkaliśmy się kilkanaście razy, może dwadzieścia. A tak to pisaliśmy do siebie listy. Przeważnie pocztą je wysyłał na moje nazwisko, ale pod inny, umówiony, adres. Listy do niego wysyłałam w siedleckie na adres Komarowskiej w Łysowie (dosyć krótko), a potem - jak Adam na-

pisał mi, że Komarowska jest w "poprawczaku" czyli aresztowana - pisałam na adres pana Zygmunta Żero.

Adam był trochę zazdrosny. W Warszawie spotkał mego znajomego, z którym bawiłam się wcześniej na jakimś weselu, to napisał, że go spotkał. Z listu czuć było taką lekką zazdrość.

Chociaż prasa rozpisywała się o bandytach, to dla mnie on był najwspanialszy. Ja nie była wychowana po tym komunistycznym zapatrywaniu. W mojej rodzinie panował patriotyzm. U nas było tak, że ojciec i wszyscy byliśmy innego ducha, tak że na mnie komunistyczna prasa nie robiła żadnego wrażenia. W klasie oczywiście nikt mnie nie podjrzewał o jakieś takie kontakty. Chodziłam normalnie z chłopakami, ale nie zwierzałam się nawet najbliższym koleżankom. Nawet z dziewczynami z mojej wioski nigdy na "ten" temat nie rozmawiałam. Nie było to specjalnie trudne, bo my, młodzież, nie rozmawialiśmy na "takie" tematy. "To" było takie tabu. Kiedyś poszłam na zabawę. I razem z chłopakami z Łap jechaliśmy kuligiem. No i ktoś powiedział dla żartu, że na zabawę partyzantka przyszła. To mój kolega z Łap, który z nami jechał, to zwiewał gdzie pieprz rośnie, bo należał do partii. Tak zwiewał, że aż zostawił płaszcz, a to przecież mróz był. Poleciał do kogoś i się ukrył. Bali się... . No, ale jak ktoś był w porządku, chociaż nawet należał do tej partii, chociaż to było coś... okropnego (według ludzi najgorsze co tylko może być). ale jemu krzywdy nie zrobili, no chyba że wpadł im w ręce..., a tak to specjalnie za takim nie chodzili.

Miałam kiedyś taki wypadek, że siedzieliśmy wszyscy w stodole i mój znajomy (partyjny właśnie) wjechał rowerem na nasze podwórze i wszedł do stodoły. No to chłopaki wylegitymowali go

i okazało się, że jest ZWM-owcem. Wtedy "Huzar" wstał, i palnął mu kazanie:

- Ty jesteś cham, świnia. Tylko ci zbić mordę, ale że ty jesteś znajomy naszych przyjaciół to nic ci nie będzie, ale jeśli choć słowo piśniesz... - no ale - rzecz jasna - musieli zaraz stąd iść, bo nie wiadomo było, czy nie doniesie. Ta jego rodzina, to dobrzy ludzie byli.

Któregoś razu przyjechałam do domu z Łap i akurat trzech chłopaków od "Huzara" było, a tu raptem milicja nadjechała i idą prosto do mieszkania. To chłopaki już odbezpieczyli broń i szykują się do walki. Ja umierałam ze strachu, czym prędzej więc wyszłam na podwórze, żeby tylko nie weszli do środka. Okazało się, że pomylili się, bo chcieli do sąsiadów - tam panienki były, pokazałam im więc dom i na tym się skończyło. Drugi raz podobnie było. Najechało się UB i wojska, to już z chłopakami byłam w życie. Obok ustawiliśmy karabin maszynowy i czekaliśmy kiedy tylko otworzyć ogień.

Co to było za życie? My wstawaliśmy rano, a oni kładli się w te same łóżko, bo zawsze nad ranem przychodzili. Dzień przesiedzo, zjedzą obiad i kolację i na wieczór idą. Zimą nocowali w domu, latem w stodole. Często opowiadali jak walczyli z UB, gdzie ktoś zginął. Pamiętam, raz opowiadali, jak w jednej ze wsi zaszli do gospodarza i poprosili o jedzenie, ale baba udała, że jest strasznie chora i nie może im nic przygotować. Chłopcy poszli, ale nie bardzo coś jej wierzyli, więc wrócili się, żeby podpatrzeć, czy ona rzeczywiście taka chora. Zaglądają przez okno, a ona stoi, wymachuje rękami i wyzywa swego chłopca: Co ty taki, owaki! No to wtedy chłopaki weszli do środka i kazali zrobić to śniadanie. Jedli śniadanie, a w tym czasie baba doniosła na UB. Ci zaraz przyjechali, otoczyli

dom i podpalili. Chłopcy ostrzeliwali się, aż w końcu wycofali się na strych. Starali się przeczekać, aby do zmierzchu. Nijak nie chcieli zejść; albo się spala, albo co. Gasili ten ogień ubraniami, ten znowu wybuchał. A ubecy czekali, bo myśleli, że ci się poddadzą. No, jak "Krakus" mi to opowiadał, to płakałam: jak oni pojedynczo wyskakiwali przez okno, jeden drugiego ubezpieczał, a potem skryli się w kartoflach. Strzelanina była, któryś zginął. Taki młodziutki Ignas (jego brat też potem zginął w oddziale). To coś straszego było.

Chłopcy to zawsze mówili, że prędzej sobie w łeb strzelą, niż dadzą się żywcem wziąć, ale oczywiście każdy wierzył że nigdy do tego nie dojdzie. Kiedyś Adam napisał do mnie w liście (nie mam go, bo bratowa zniszczyła, gdy byłam aresztowana), że któregoś razu, gdy byli w akcji: "wisiała nade mną czarna chmura śmierci, ale wtedy pomyślałem o tobie....", pisał, że był już zrozpaczony, że straszne chwile przeżył i niewiele już brakowało, żeby strzelił sobie w głowę - tak pięknie napisany był ten list, że chciało się go czytać i czytać.

Przychodzili w małych grupkach: po pięciu-sześciu. Zimą chodzili w białych kombinezonach. Nasz dom był ostatni we wsi, pod lasem. Któregoś razu wyszłam na pole i patrzę, że na tle krzaków coś się rusza białego. A to byli chłopcy. A psy to zupełnie inaczej czekały na nich. Tak delikatnie, piskliwie, przyjaźnie:

- Hau, hau. - Od razu mówimy:

- Partyzanci idą, bo psy inaczej szczekają. - I faktycznie, zaraz któryś stuka w okno i pyta się:

- Spokój we wsi? - A jak przyjedzie wojsko, czy milicja to ujadają, że mało łańcuchów nie pozrywały.

Mama to zawsze bała się. Od razu żołądek ją bolał, jak pojawiali się chłopcy. Bała się, żeby ktoś nie wydał, chociaż nigdy im nie powiedziała, żeby już więcej nie przychodzili. Jak poszłam spotkać się z Adamem, to strasznie na mnie krzyczała, ale i tak się z nim widywałam. Też się o tym dowiedziała. Któregoś razu chłopcy byli u bratowej (Roszkowscy) i wysłali chłopca Roszkowskich do mnie, żebym przyszła, to mama nie puściła mnie.

Kiedyś w radiu, w audycji z Londynu, to nawet przekazali pozdrowienia dla "Huzara": Wielkiemu Polakowi, Kazimierzowi Kamińskiemu... - Sama słyszałam. Z radia "Madryt" z Hiszpanii również przekazali pozdrowienia. To Piłsudskiego córka nadała. Poza tym chłopaki przecież otrzymywali żołąd z Londynu [Zapewne chodzi o pieniądze przekazywane im przez V Zarząd Główny WiN, czyli w rzeczywistości przez MBP. Pieniądze te miały spowodować zaniechanie przez oddział rozbijania wiejskich sklepów - J.K.]. W domu radia to nie było, bo przedwojenne, na słuchawki, to w czasie pierwszej okupacji sowieckiej jak zakopali w ziemi, to po wojnie znaleźć nie mogli.

Od jakiegoś czasu Adam mówił, że oddział wyjedzie na Zachód, ale - jak potem się dowiedziałam - ktoś ich zdradził... . Ja cały czas wierzyłam w sens tego wszystkiego... . U nas we wsi, i w ogóle, to się mówiło, że już niedługo będzie, niedługo będzie nowa wojna. Już niedługo. Cały czas tak się mówiło. Każdy tym żył. Ludzie zbierali się i tak mówili: musi się zmienić, już niedługo. Chłopaki [partyzanci od "Huzara"] z gospodarzami dyskutowali i tłumaczyli im też: że już nie-



długo... . I chyba tylko to trzymało naszych chłopaków. Ale jak mieli robić ten wyjazd za granicę, to chyba już zwątpili w to... .

Chłopi to uważali ich za swoich obrońców. Sama słyszałam jak chłopcy opowiadali, że gdy w jakiejś wiosce milicja zaczęła zabierać zboże na kontyngent, to wkroczyli do akcji i przegnali ich. Chociaż u nas to jakoś mało zabierali ten kontyngent, o wiele więcej zabierali go w wysokiem-mazowieckiem. U nas ludzie jakoś tak nie opierali się. Zresztą, milicja wciąż chodziła po chlewach i spisywała kto co ile ma, to potem nie było jak i ukryć. Te kontyngenty to były tak wysokie, że jak się oddało co wyznaczone, to nic nie zostawało do życia. No to trzeba było oszukiwać ile się da.

Lasu partyzanci też pilnowali - nie dawali ciąć chłopom. To mój najmłodszy brat za to właśnie dostał mocno w dupę. Jak przyszedł do domu, to zemdłał. Nasz dom był spalony i potrzebowali drzewa na odbudowę, a pieniędzy na jego kupno nie mieliśmy. Zresztą wszyscy wtedy jeździli do lasu nie oglądając się na jakieś pozwolenia. No i brat razem z kolegą pierwszy raz pojechał do lasu po drzewo. No i złapali ich partyzanci. Że kolega był młodszy to mniej dostał batów, a brat, jako że był starszy - dostał więcej. Widocznie ci co mu wleli, nie byli od "Huzara", bo ci to go znali. No i brat już więcej nie pojechał do lasu po drzewo.

Moja pierwsza praca, to była w Rejonowym Urzędzie Pocztowym w Ełku. Tam dostałam nakaz pracy. W 1951 r. zdałam egzaminy wstępne na Akademię Medyczną i zostałam przyjęta na pierwszy rok studiów. Jednak naczelnik nie zgodził się na zwolnienie

mnie z pracy. Usiłowałam walczyć z nim, i tyle tylko wywalczyłam, że zgodził się, ale pod warunkiem, że znajdę kogoś na moje miejsce. Dosyć długo to trwało, aż w końcu udało mi się namówić jedną z koleżanek. Jednak w końcu 1951 r. przeniesiono mnie do Białegostoku i sprawa stała się nieaktualna. Już bez dalszych przeszkód mogłam podjąć naukę, musiałam tylko poczekać do rozpoczęcia nowego roku akademickiego.

Ostatni list dostałam od "Lamparta" na kilka W liście tym Adam pisał, że dostał awans i będzie oznaczonego dnia w Płonce u moich rodziców, bo ma się spotkać z "Huzarem". Także kilka dni przed aresztowaniem widziałam się w Płonce z "Huzarem", no to też mi mówił, że Adam będzie u moich rodziców w Płonce i dał mi zegarek, który zaniiosłam do zegarmistrza, do reperacji.

Do pracy dojeżdżałam z Płonki. Jak wracałam autobusem wieczorem, to siostry zawsze wychodziły po mnie na drogę i razem wracałyśmy. Jednak w maju, kilka dni przed aresztowaniem, zamieszkałam w Białymstoku u koleżanek, które pracowały w Domu Dziecka. Trudno więc było mnie znaleźć i gdy aresztowali moją rodzinę, to nikt mnie nie zawiadomił, bo mnie aresztowali dwa dni później.

Na poczcie pracowałam przy okienku. Miałam ranną zmianę. Tego dnia zadzwonił do mnie naczelnik, żebym się zgłosiła do niego, ale pomyślałam sobie, że najpierw załatwię ludzi i wtedy pójdę. Po chwili jednak do mego biurka podeszło dwóch takich w cywilu. Widać się zniecierpliwili, czekając na mnie w gabinecie naczelnika, bo nawet ręk nie dali mi umyć tylko od razu:

- Pani jest aresztowana. Proszę zamknąć okienko i nigdzie nie odchodzić. - I to wszystko na oczach klientów i pracowników. Jak wyprowadzali mnie, spotkałam chłopaka mojej siostry, to jeszcze zdążyłam krzyknąć:

- Edek, powiedz Władzi!

- Proszę nie rozmawiać ! - natychmiast zareagował ubek i powieźli mnie do Wysokiego Mazowiecka. A moi w tym czasie byli już aresztowani, o czym dowiedziałam się dopiero później. Na UB w Wysokiem Mazowiecku, poprosiła, żeby puścili mnie do ubikacji, i tam zdążyłam porwać ten ostatni list od "Lamparta", który nadal miałam przy sobie. Na szczęście jeszcze mnie nie zrewidowali. Potem szukali go grabiami, ale nic nie znaleźli.

W domu zostało się jeszcze dwóch braci: najmłodszy 11-letni i najstarszy Franciszek. Był nauczycielem w Płonce Starej. Poczekali, że w czerwcu szkoła się skończy i wtedy go aresztowali, ale do tego momentu, to stale go ciągaliby do lasu i wypytywali, na strachy brali. Jak Franek opowiadał, to co drugi dzień ktoś na niego czekał.

Jak mego chłopaka zabili, to przy nim znaleźli moje listy, które miał w kaburze pistoletu. I tak po nitce dotarli do kłębka. W jednym z tych listów "Lampart" pisał do mnie, że moja siostra Zofia jeździła do Gdańska z listem do UB napisanym przez "Huzara", potem więc moja siostra nie mogła już wyprzeć się tego. Ze strony "Lamparta" była to wielka nieostrożność.

W śledztwie jedyną torturą była stójka. Stałam chyba z półtora tygodnia - dzień i noc. I żadnego spania. Nogi mi popu-

chły, buty popękały. Gdy mdlałam, sprowadzali felczera, który robił zastrzyk i od nowa stójka. Albo przyjdzie pięciu, każą kłaść się, jeden zdejmuje pas i mówi, że będzie lał, jak nic nie powiem i tylko:

- Mów, mów, mów... - i wyzywali, klęli na czym świat stoi. Suchej nitki nie zostawili na człowieku. No i te stójki. To do obłędu doprowadzało. To jeszcze jak wojsko pilnowało, to jeszcze możliwe było, bo jak śledczy wyjdzie, to wojskowy pozwoli usiąść na chwilę.

Na dodatek rozbolały mnie zęby. To szef UB kazał mi się na krzesłach położyć, żeby... ulżyło.

W śledztwie to chyba z pięciu śledczych miałam. Ciagle się zmieniali. Jednego to takiego możliwego miałam:

- Krzysiu - mówił do mnie - nie chcesz mówić prawdy, to kto inny będzie ciebie przesłuchiwał, bo ja z ciebie nie umiem nic wydobyć.

Gdy z Wysokiego Mazowiecka przewozili nas ciężarówką do Białegostoku, to - jako, że było nas dużo - wszystkim w kucki kazali usiąć i każdemu na głowy ponarzucali kożuchy. To był czerwiec, gorąco, to myślałam, że się tam uduszę. Ja była drobnituka i szczupła, to jak na UB w Białymstoku zeszałam z ciężarówki, zrzuciłam ten kożuch, to podszedł jakiś ubowiec i mówi:

- Taka młoda i będzie teraz siedziała bardzo długo.

Na izolatce siedziałam m.in. z żoną "Roga" Rogińskiego z pow. Kolno. Była w bunkrze razem z mężem, gdy UB okryło ich kryjówkę. Ona była taka nieprzytomna, bardzo załamana. Dużo ludzi wydała

W ogóle z kolneńskiego siedziało ze mną sporo osób: taka Kajko, Lodzia Duńczyk i in. Ze starszych kobiet siedziała pani Korzeniecka, taka Zalewska za "Szalonego" [St. Grabowski "Wiarus"-J.K.], trzy siostry Wnorowskie: Gienia, Helena i Matylda. Były siostry Tararuje, gdzieś od Siemiatycz, to one już za Adama.

Na początku, na izolatce, przez pierwszy miesiąc siedziałam zupełnie sama. No to najczęściej siedziałam sobie i płakałam. Na przesłuchania brali mnie przeważnie w nocy. Jak już wszyscy zaczęli spać, to wtedy słychać było upiorne głosy: głosy kroków strażników i uderzenia klamka w metalowe okucie drzwi cel, i te ich okrzyki:

- Daawaać, daawaać! - A jak ktoś jest na korytarzu a innego prowadzi, to każą stawać twarzą do ściany. Te głosy to na izolatce była właśnie najgorsza rzecz. To mnie dobijało: ten stukot kluczy i okrzyki: dawaj, dawaj.

Jeszcze w śledztwie dowiedziałam się, że Adama złapali. Tak mi mówili ubecy. Według nich był ciężko ranny. Dopiero jak przerzucili mnie na z pojedynki na celę ogólną, to spotkałam tam ludzi z siedleckiego i wtedy dowiedziałam się, że "Lampart" zginął. Nie wiem dokładnie jak to było, ale prawdopodobnie patrol wysłał, i została ona ujęta i wydali go. Potem ludzie mówili, że jego matka od tego zwariowała, ale to tylko plotki. A jak było naprawdę, nie wiem (miałam taką książkę pt.: "Borem, lasem" - tam wszystko było opisane przez jakiegoś ubowca jak ścigała "Lamparta", jak go otoczyli i nie chcąc się poddać, rozerwał się granatem).

Oczywiście wiedziałam co się dzieje z rodziną, bo już nauczyłam się posługiwać alfabetem mors`a i w ten sposób nawiązałam łączność z siedzącym pietro niżej bratem.

Na celi ogólnej to było przepełnienie. Tu jednak było zdecydowanie lepiej, pomimo tłoku. Ludzie ciągle przychodzili i odchodzili . To ze sprawy przyjedzie. Ciągle coś się działo, można było dowiedzieć się najświeższych wiadomości. Można było już dostać widzenie. Spałyśmy na dwupietrowych pryczach. Były tylko same polityczne, oczywiście poza kapusiami. Jeśli chodzi o oddziałowe, to były możliwe kobiety, ale i diabła warte. Na jedną to "bocianica" nazywaliśmy - okrutnie podła. Darła się jak pies przy byle okazji. Była jeszcze taka "Maryśka" - chłopobaba, taka wredna, że och... . A taka "Jaśka", jak moja mama zachorowała, to przyszła, otworzyła po cichu drzwi celi i mówi:

- Łapińska, wyjdź na korytarz. - Wyszłam.

- Twoja mama jest bardzo chora, tylko nic nikomu nie mów. Wpuszcze cie do matki, na chwilę. Porozmawiaj i nikomu nie mów, że widziałas się z matką. - Mama najbardziej to o nas się martwiła. Tak płakała... . Nieraz słyszałam w celi jak moja matka płakała. No to szalu można było dostać. Tym płaczem, to ona tylko nam utrudniała wytrzymanie tego piekła, bo tak się o nas martwiła, a my o nią.

W Białymstoku przesłuchania to przeważnie noca odbywały się. Godzinami trzymali.

- Nie będziesz mówić, to pójdziesz do karca - i szłam do tego karca. Przeważnie na 24 godzin zamykali. I potem znowu na górę.

Jedzenie było pod psem - przynosili raz na dzień, ale nie chciało się i tego jeść. Zupa taka rzadka, że trudno było coś w niej znaleźć. W domu było ciężko, to i nie było nawet komu na wypiskę przysłać. Przecież wszyscy siedzieli. To tylko czarny chleb wieczorem i gorzka kawa rano - to było całe jedzenie.

Mój prokurator, Klocek, to po prostu był bandzior. Moja siostra uczyła się wtedy w Liceum Pielęgniarskim z jego narzeczoną, no to bardzo ją prosiła, żeby wybłagała u niego, by jakoś łagodnie podszedł do mojej sprawy. I owszem, jak na zakończenie śledztwa zaszedł do mnie (jak zwykle w nocy wzięli mnie na górę) to przewracał oczami:

- A Krysiu, a to, a tamto. Masz takie piękne, czarne oczki - jak zaczął zalewać, to aż źle się robiło. A potem - jak nie chciałam się przyznać - od razu przeszedł na właściwy ton:

- A ty kurwo, myślisz, że ja dalej będę z tobą tak rozmawiał  
- Jak zaczął kłać, jak zaczął bluźnić, to wstałam i powiedziałam mu prosto w oczy:

- Jest pan brud bezczelny. Niech mnie pan w tej chwili puści, bo bede krzyczała na całe wiezienie. - Wtedy on wstał i powiedział:

- Idź. - Do celi jak wpadłam, to zaczęłam tak płakać, że w głos się darłam - tak mnie się dał we znaki, tak wyzywał. Mi-  
nęło może pół godziny i znowu wziął mnie na górę, ale już uspokoił się, już tak nie kłał.

Z kolei innym razem śledczy powiedział do mnie:

- Tobie to tylko łeb kosa uciąć - i że będę w piekle. A ja mu wtedy zaśpiewałam naszą partyzancką piosenkę:

- Święty Pioter ci bramę otworzy

Spyta skąd, z partyzantki, ja jest.

Wejdiesz w ogród spokoju i zgody.

Boś był Polak i walczył....

- Ooo, podyktuj, podyktuj - rzucił szybko.

- Jeszcze czego - odpowiedziałam i znowu trafiłam do karceru. Na sprawie dostałam 6 lat. Potem dowiedziałam się, że siostra Zosia dostała 9, mama 8 lat, Ania - 7 lat, a brat 4 lata.

Już po wyroku wznowili u mnie sprawę, bo złapali "Huzara" i myśleli, że jeszcze uda się im coś ze mnie wyciągnąć. Śledztwo zaczęło się od początku.

Wtedy miałam konfrontację m.in. ze "Zbyszkiem", którego złapali razem z "Huzarem". Też na mnie zeznawał, ale on był już tak wykończony i zdenerwowany, że powiedziałam mu:

- Nie ma sprawy, nie denerwuj się przy tym śledczym. - Takie śledztwo przeszedł, że nie miałam do niego żalu.

Tam przecież wariowali ludzie. Jeden taki, to darł się na całe więzienie:

- Jaaankuu! Zabierz mnie do Warszawyyy! Ja chcę do Warszawyyy!. - Ze mną siedziała taka starsza kobieta - Plewa, to wzięli ją na "szpitalkę" i powiesiła się.

Też byłam na "szpitalce", bo wątroba tak mnie spuchła... .

Zaprowadziła mnie tam oddziałowa i na odchodnym powiedziała:

- No, Łapińska, jak jesteście zdrowe, to zaraz do karcera pójdziecie. - Ale w tym karcerze siedziałam już tyle razy, że jeden raz więcej nie robił na mnie żadnego wrażenia. A lekarz - akurat tak się złożyło, że więziennego nie było, tylko lekarz z wolności dr. Śmietański, chociaż wojskowy - tylko się spytał:



- Ile masz lat, jaki wyrok dostałam i za co? - powiedziałam i zaraz wziął mnie do szpitala. Niestety, był tylko miesiąc i tyle czasu leżałam.

Któregoś razu dostałam pozwolenie na widzenie z moim bratem Franciszkiem, który też siedział. I akurat przyjechała do niego żona z dwojgiem dzieci. To naczelnik więzienia, za to, że zobaczył u mnie na szyik medalik z Matką Boską, to zerwał mi z szyi medali i zerwał widzenie, a brata do karceru wsadził. Wróciłam na szpitalkę i tak się wniebogłoso rozplakałam, że myślałam, że mi serce pęknie. I przyszedł dr. Śmieński i pyta się:

- Co z tobą jest? - Opowiedziałam więc wszystko, łkając cały czas. Doktor na to:

- Nie martw się. Pójdę zobaczyć, jak twój brat się źle czuje, to i jego zabiorę na szpitalkę, ale nie płacz. Nie rozpaczaj, nic się nie stanie, zobaczysz. Pójdę, sprawdzę. - To był bardzo dobry człowiek. A przyszedł dr. Piekларz i od razu mnie wypisał.

Siedziała ze mną też Irka Darżyło z kieleckiego. Jaka to była fajna dziewczyna. No i dostała padaczki. Miewała takie "ataki" przewidzenia, że mówiła koleżankom, gdzie kto z ich rodziny (ci co zaginęli), pochowany. No to wszyscy wierzyli w to. Ona była chyba w jakiejś młodzieżowej organizacji. Z Łomży też było dużo dziewcząt z młodzieżowej organizacji. Jeszcze uczennice. Wszystkie żyliśmy ze sobą bardzo dobrze. Pomagałyśmy jedna drugiej.

Wzięli mnie tylko w samej sukience, bo jak aresztowali, to maj był. Do karceru wsadzili, naleli wody, a ja na nogach mam

tylko klapki z rzemyków i jestem w letniej sukience, a to zima. I muszę wytrzymać 48 godzin. W końcu, gdy już nie dałam rady chodzić, zdjęłam buty i usiadłam skulona i zmarznięta na tych butach w kącie celi. A tu zaraz klawisz zagląda przez wizjer i krzyczy:

- Nie chowaj się, bo muszę mieć cie na widoku! - A ja jeszcze jedzenia nie przyjąłem, bo za nic mnie tam śledczy posadził.

A to było tak:

W celi mieliśmy kapusia - za Żydów siedziała (zawsze do celi dawali jakiegoś kapusia). Jak tylko weszłam do celi, zaraz po aresztowaniu, to zaraz dziewczyny od Siemiatycz ostrzegły mnie szeptem:

- Chociaż nic nie mów, bo w celi jest kapuś. - No i jak dostałam akt oskarżenia, to nie chciałam przy niej czytać, więc już jak strażnika mnie prowadziła do celi zaczęłam czytać, no i idąc korytarzem pomyliłam piętra i zeszałam piętro niżej, a tam mój brat siedział. Zaraz nadbiegł idący za mną strażnik i - w tył zwrot i do karcera mnie, za to że chciałam nawiązać kontakt z bratem, a ja tylko pomyliłam się. A przeklinał ten strażnik, że mój brat to taki skurwysyn, że nic się nie przyznał - klął w żywe kamienie.

"Huzar" był u mnie za świadka i na śledztwie zeznał, że zna mnie był u mnie, ale na sprawie odwołał to wszystko. Wtedy byłam już bardzo chora. Jako, że pokój, w którym mnie sędzono, był bardzo mały, więc staliśmy obok siebie, więc nastąpiłam mu lekko na nogę i wtedy "Huzar" powiedział, że nie przypomina mnie sobie, że wszystko co o mnie powiedział wycofuje. Wtedy sędzia zwrócił mu uwagę:

- Przecież chcieliście się ratować?

- Na życiu mi nie zależy - odpowiedział "Huzar"
- Mieliście dwa pistolety...
- Nie zdążyłem użyć broni, bo skoczyło mi na plecy sześciu ludzi i wykręcili mi ręce ["Huzar" mówi tu o tym jak aresztowano go w Warszawie, w lokalu MBP, o którym był przekonany, że jest punktem WiN-u, gdzie czekał na przerzut do Niemiec-J.K.].
- Czy wiecie, że od waszego zeznania w sprawie oskarżonej, zależy jej wolność lub długie więzienie.
- Tak, zdaje sobie z tego sprawę. Podtrzymuję, to co już powiedziałem, że nie mogę potwierdzić swych zeznań ze śledztwa (Jeden ze śledczych powiedział mi, że "Huzar", gdyby poszedł inną drogą, to byłby wielkim człowiekiem).

Na dodatek Komarowska z Siedlec, ta co to do "poprawczaka" trafiła, też wysypała mnie. Na konfrontacji powiedziałam, że nie znam jej, ale ona mówiła wszystko. Potem gdzieś w więzieniu któraś z moich sióstr spotkała się z nią, to mówiła, że Komarowska bardzo źle się odnosiła. Jednak i na drugiej sprawie dostałam ten sam wyrok, co i na pierwszej - 6 lat. Łącznie śledztwo ciągnęło się półtora roku. Co to było 6 lat. Moja koleżanka, Jabłońska Irena (obecnie Bielewicz), młoda dziewczyna przecież, dostała 10 lat. Też za "Huzara". Pochodziła z Wit (kolonia k. Łap). To jak ze sprawy wracała, to na całe więzienie krzyczała - tak rozpaczała. W tym wieku taki wyrok. To dopiero (mieszka w Łapach). Jej siostra Staśka chyba 7 lat dostała (mieszka w Białymstoku). Oni to przeżyli szok, bo u nich, na Witach, to "Krakusa" zabili [22.08.1952]. U ich ciotecznej siostry, w stodole. To go ubowcy wrzucili na samochód, a one musiały siedzieć obok ciała. A "Krakus" to

był chłopak Stański. Jeszcze taki Tadzik Perkowski z Wit siedział i małżeństwo Kowalewiczów.

"Huzar" był wysoki, przystojny. Jak go wzięli, to oddziałowe biegały go zobaczyć i tak się nim zachwycaly. "Huzara" widziałam jeszcze w więzieniu, gdy wypuścili go na spacer. Chodził w kółko. Był w ubraniu cywilnym, w którym go wzięli. Akurat byłyśmy w ubikacji. Otworzyłam więc okno i przez kratę krzyczałyśmy do niego, żeby się nie martwił i machałyśmy rękami. No to potem przyszli do celi i zapytali kto to krzyczał? Wtedy Cebulkowa, ten kapuś, zaczęła płakać, że ona nic nie winna i gadać na nas, że przez nas wypiski nie dadza, chociaż ona i tak jej nie miała. Wtedy przyznałam się:

- Ja wyglądałam. - I Hela Wyszynska też przyznała się:

- I ja wyglądałam - no to do karceru na 24 godziny posadzali nas za to, a tym młodszym, co w celi zostali, to sienniki pozabierali, a nasze porozwalali.

Jak na transport do Kamińska odjeżdżałam, to więźniowie, którzy pracowali w magazynie z ubraniami, to powiedzieli mi, że "Huzar" już nie żyje, bo rodzinie ubranie zwrócili.

Później była amnestia, więc zdjęli mi 2 lata, łącznie przesiedziałam 2 lata i 2 miesiące, z tego półtora roku w śledztwie, a resztę w Kamińsku, k. Olsztyna. To był bardzo duży ośrodek. Podobno przed wojną były tam koszary wojskowe. Wszystko było z czerwonej cegły. Tam było potwornie zimno, bo nie było centralnego ogrzewania, tylko piece kaflowe. Każdy chciał przy tym piecu posiedzieć, ale co z tego, jak było słabo napalone. To wymyślałyśmy różne rzeczy, żeby tylko nie

zamarznąć: jakieś biegi, zabawy. Jak Stalin zmarł, to wszystkie tak się cieszyły, do góry z radości skakałyśmy..

Rodzinę porozwozili po całym kraju: mama pojechała do Fordonu, Zosia też trafiła do Fordonu. Ania jakiś czas była w Tarnowie.

Na gospodarce został tylko mój 11-letni brat i bratowa z dwojgiem malutkich dzieci - żona starszego brata Franciszka, który też siedział. Z rodziny bratowej (Roszkowscy z Płonki - Strumianki) także wszyscy siedzieli: ojciec, dwie siostry i brat. Także za "Huzara" (z Płonki jeszcze za "Huzara" siedzieli: Mietek i Olek Płońscy).

W Radzynie Podlaskim była jeszcze moja siostra, ale po ukończeniu szkoły dostała nakaz pracy do Międzyrzecza Podlaskiego i koniec. Chciała przyjechać do domu, żeby zaopiekować się tym małym bratem - to nie pozwolili. No i ten nasz 11-letni brat wszystkie nas odwiedził. On był bardzo malutki, to oddziałowa nie mogła się nadziwić, że taki mały chłopiec taki szmat drogi sam przejechał, bo gdzie Fordon, gdzie Tarnów, a gdzie Kamińsk.

Najpierw na wolność wyszedł brat, potem mama, Ania, ja i na końcu Zosia.

Ja wyszłam na wolność w lipcu 1954 r., to bałam się gdziekolwiek ruszyć. Tylko przyjechałam do domu, zaraz przyszedł ubowiec pytać się co robię itd. Co miesiąc musiałam meldować się na posterunku w Kowalewsczyźnie. Od razu też zaczęła szukać pracy, ale propozycje miałam tylko daleko od domu. Poza tym, jak pokazywałam zaświadczenie o zwolnieniu z więzienia - bo

to przez długi czas był mój jedyny dokument - to często okazywało się że właśnie już kogoś przyjęto na moje miejsce. Na dodatek byłam chora: na głowie zrobił mi się guz. Objechałam wszystkich lekarzy jacy tylko byli. Po wyleczeniu znowu zaczęłam szukać pracy, ale z takim samym rezultatem. Nie chciałam iść do swojej ostatniej pracy, na Poczcie Główną w Białymstoku, bo czułam się upokorzona (aresztowali mnie przecież na oczach ludzi - było to dla mnie bolesne i przykre), chociaż wiedziałam, że tam to na pewno mnie przyjmą. Gdy jednak nadal nic nie mogłam znaleźć - wróciłam na stare śmiecie.

Na mamie tragicznie to wszystko odbiło się. Dostała nerwicy, do Choroszczycy (szpital dla umysłowo chorych) ją wozili.

Jak zaresztowali moje siostry to wtedy jeden z chłopaków zginął. ("Ponury"). Od "Chmielów" szedł, bo tam chyba świniaka zabił, czy coś, no i nie wiedział i wpakował się na ta obławę, a obława była wielka.

Ostatni list "Lamparta"

"Najdroższa Krystyno.

W pierwszym rzędzie bardzo dziękuję ci za list. Nie wyobrażasz sobie jaka on sprawił mi przyjemność. Dostałem go w poniedziałek, tj. 11.III.1952 r. o godz. 9 wieczorem, gdy wróciłem z podróży. Gdy wszedłem do domu i usłyszałem, że mam list od Ciebie, to w pierwszym rzędzie musiałem go przeczytać. Nawet nie zdjąłem płaszcza. Przekonałem się, że mnie kochasz i pamiętasz, że chociaż w tych kilku minutach, co pisałaś list, to wspominałaś. List Twój przeczytałem jednym tchem, wówczas dziwnie biło mi serce, bo cóż może być przyjemniejszego od czytania listu pisanego przez najdroższą oso-

bę. Nie wiem dlaczego odczuwam teraz wokół siebie jakąś dziwną pustkę, ciągle mi się zdaje, że jestem tylko sam na świecie. Ja również ciągle Ciebie wspominam i stale mam przed oczyma. Stale bardzo miłe wspominam spędzone z Tobą chwile, bo chwile pomimo, że były bardzo krótkie głęboko utkwiły w mej pamięci. Naprawdę, bardzo szkoda, że nie możemy się częściej widywać i razem przeżywać wesołe jak i smutne chwile. Mam jednak nadzieję, że zawsze kiedyś skończy się te nasze tułaczkie życie, a wtedy to naprawdę będziemy mogli weselić się w wolnej Ojczyźnie. I to już chyba niedługo.

Krysiu, ta morowa ciocia u której byłaś [Komarowska z Siedlec], dostała się do poprawczaka, więc proszę Cię bardzo, żebyś nie pisała na ten adres. Proszę pisać na ostatni adres "Zygmunta". Kończę te parę słów i przepraszam Cię jednocześnie, że tak mało i niestarannie piszę, a także, że bez żadnego sensu, ale naprawdę jestem już strasznie śpiący i zmęczony. Pozdrawiam Cię serdecznie i całuję mocno oraz całą rodzinę.

Proszę o szybki odpis listu. Stale ten sam - Adam.

Relacja spisana przez Jerzego Kułaka - maj 1995 r.